

242. Tygodnik Polski /1/

Ks. Boharsik Pál

Piarista Ház

V A C

NIK POLSKI

WIELKI OBOZOWE

KOK I (III)

Budapeszt, niedziela 24 października 1943

Nr 14 (41)

STABILIS

Horoskopy konferencji w Moskwie

Konferencja w Moskwie wywołuje nieskończoną ilość rozbieżnych prognoz i domysłów z najprzeróżniejszych stron. Niektóre z tych zapowiedzi są poprostu przejawem wojny nerwów i mają na celu wzbudzenie niepokoju i wprowadzenie rozgardiaszu w obozie przeciwnika. Inne są próbnymi balonami puszczonymi w zamiarze wybadania kierunku, w którym wiatr wieje po stronie przyjaciół, wrogów i na uboczu stojących. Nie brak oczywiście i takich wiadomości, które ocenić wypadnie jako wyraz organicznego panikarstwa, zawsze skorego do wietrzenia kłeskowych rozwiązań.

W istocie rzeczy konferencja ministrów spraw zagranicznych państw koalicji przeciwniemieckiej jest wynikiem zrozumiałej potrzeby i raczej dziwić się należy, że tak późno do niej dochodzi. W miarę postępu działań wojennych narosło tak wiele zagadnień wymagających omówienia i ustalenia, że dalsza zwłoka i odkładanie decyzji na czas po zakończeniu wojny mogłyby grozić w przyszłości zarzewiem nowych, głębokich konfliktów w łonie Sprzymierzonych Narodów. Zasada Kropiciela Dobrzyńskiego: «Kropić!» jest świetnym motywem przewodnim w toku wojny; z chwilą jednak, gdy wypadki wróżą zbliżanie się do punktu kulminacyjnego a lada dzień może jego przekroczenie, czas zasiąść do stołu konferencyjnego i pamiętać, że «clara pacta claros faciunt amicos» («jasne układy robią jasnych przyjaciół»), i o tym jeszcze, że strategia jest dalszym ciągiem polityki a polityka może być wstępem do przyszłej strategii.

Poprostu paktu angielsko-rosyjski a następnie amerykańsko-rosyjski wyrosły przeważnie z naturalnej zasady, że nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Teraz zaś nadchodzi czas szczegółowego omówienia wzajemnych praw i obowiązków, a nadto stosunku do dalszych partnerów wspólnej walki.

Pewne koncepcje, gęsto rozsiewane w formie tez politycznych czy też pogłosek w ubiegłych miesiącach, należą już dziś do przeszłości. Tu należy pomysł podzielenia Europy na dwie sfery wpływów, anglosaską zachodnią i rosyjską wschodnią, koncepcji propagowanej przez pewne koła angielskie sprzyjające

Sowietom, które tyle wzbudził defetystycznego niepokojówśrodkach małej wiary i aż uchodziły za wynik sprzysiężenia rzekomo wszechwładnej masonerii z zachłannym bolszewizmem. W rzeczywistości koncepcja ta musiała upaść jako izolacjonistyczna w stosunku do Europy Środkowo-wschodniej i sprzeczna z przewodnią zasadą polityki angielskiej głoszącą równowagę sił na kontynencie. Podział Europy na strefy byłby oczywistym przygotowaniem nowego konfliktu, tym razem rozstrzygającego — nowych zaś walk w niedalekiej przyszłości Anglicy pragną uniknąć.

Dziś nie ma już mowy o sferach wpływów i dwóch hegemoniach — mowa jest zaś wyłącznie o wspólnym programie obejmującym wszystkie zagadnienia. Wymownym dowodem takiego właśnie rozwiązania jest żądanie dopuszczenia Sowietów do międzysojuszniczej komisji śródziemnomorskiej i nowa aktywność sowiecka w Algierze oraz Egipcie. Byłoby zaś naiwnością nietada sądzić, że Anglicy dopuszczą Rosję do współdecydowania w obszarach obcych dotąd wpływom rosyjskim, rezygnując równocześnie z swoich dążeń programowych na terytoriach, które mogą znaleźć się w zasięgu działań wojennych armii sowieckiej.

Sowiety rzucą na stół konferencyjny wyniki swoich kampanii letniej i jesiennej i z naciskiem będą żądały drugiego frontu, za który chcą uważać jedynie front zachodni po przeciwległej Anglii stronie kanału La Manche. W zakresie politycznym zażądają uznania zaboru wschodnich kresów Polski i Besarabii z Bukowiną oraz wcielenia państw bałtyckich. W tej dziedzinie stanowisko Rosji będzie w zewnętrznych swoich formach objawiało się jako nieprzejednane i nie podlegające dyskusji — tak długo jednak, aż współobradujący partnerzy dyskusji nie potrafią narzucić a rewizji poglądów wymóc. Prawdopodobieństwo przemawia bowiem za tym, że w ramach działań wojennych Niemcy mogą przeprowadzić dobrowolnie lub pod przymusem dalszy odwrót i znaczne obszary Polski czy cała Estonia albo i Łotwa dostałyby się wtedy w ręce armii sowieckich, zanim z innej strony nastąpiłyby mogła interwencja wojsk anglosaskich. Czy wymowa faktów dokonanych wprowadziłaby roz-

wiązanie ostateczne? W tym kierunku idą bez wątpienia zamiary bolszewickie, ale tu napotkają na opory, którym da wyraz konferencja moskiewska.

Gdzie indziej bowiem sytuacja jest wprost odwrotna. Polityka Stalina w stosunku do krajów bałkańskich kontynuuje dawną politykę Rosji carskiej, która świadomie dążyła do umocnienia wpływów rosyjskich na półwyspie bałkańskim, a co za tym idzie we wschodniej części Morza Śródziemnego. Tu Anglicy są bliżsi celu i za prawo współdecydowania dziś, a współpracy w przyszłości bolszewicy będą musieli zapłacić. Pominąwszy już fakt, że zgoła wątpliwą rzeczą wydaje się przyjęcie planów sowieckich w tej części Europy w całej ich osnowie.

Radio sowieckie i gazety już dawniej atakowały monarchistyczną formę rządów w Grecji i Jugosławii i osoby panujących tych krajów. Jest rzeczą mało prawdopodobną, aby Wielka Brytania i Stany Zjednoczone pozostawiły króla Jerzego greckiego i Piotra jugosłowiańskiego ich własnemu losowi i pogodziły się z koncepcją jakiegoś bałkańskiego ukrytego lub jawnego bolszewizmu.

Dalsze ambicje rosyjskie sięgają do Iranu i zatoki perskiej. Sowiety pragnęłyby z Iranu uczynić co najmniej obszar równomiernych wpływów rosyjskich i brytyjskich. Dostęp do zatoki perskiej w tej właśnie wojnie okazał się życiowo nieodzownym, bo wszakże tędy kierował się dowóz sprzętu wojennego z Ameryki. Iran jest jednak także bramą do Indii i w tych warunkach kondominium w zakresie wpływów politycznych Rosja nie uzyska bez ustępstw na innym polu. Tym bardziej, że w grę wchodzi nafta perska, którą interesują się oprócz Anglii i Stany.

Statut dardaneelski na południu, sprawy finlandzkie na północy to dalsze przedmioty konferencji. I tu nie obejdzie się bez targów. Dla Rosji szczególne znaczenie wydaje się mieć zagadnienie federacji środkowo-europejskiej, którą bolszewicy uważają za groźny »kordon sanitarny«. Nie jest rzeczą wykluczoną, że koncepcja federacyjna padnie ofiarą i kosztem ustępstwa na tym polu uratowane zostaną pewne obszary przed zaborczością sowiecką. Co nie przeszkodzi oczywiście dalszemu pogłębieniu gospodar-

czego, a co za tym idzie, politycznego zżywania się krajów, którym geopolityczne położenie narzuca szukanie nadrzędnej wspólnoty.

Ataki sowieckie na Polskę i rząd polski uważać należy w tym związku za przejaw wojny nerwów i próbę wywarcia presji. Nie ma chyba nikogo rozsądnego w Rosji, a politycy bolszewicy wykazali sporo realizmu, kto poważnie liczyłby się z możliwością narzucenia Polsce Wandy Wasilewskiej jako — premiera! Także i komitet »Wolnych Niemiec« jest dziś jeszcze przede wszystkim sposobem dokuczania Anglosasom i obiektem wymiennym w nadchodzących targach politycznych.

Najdonioślejsza jest jednak dla Sowieców kwestia pomocy gospodarczej! Konferencja w Hot Springs nakreśliła jedynie linie wytyczne. Z teorii trzeba będzie przejść do praktyki. Sowiety muszą otrzymać wiele żywności, aby wyniszczony wojną kraj mógł przetrzymać czas przejściowy i w jak najszybszym tempie zechcą przystąpić do odbudowy. Gigantyczne zadanie odbudowania i od razu przebudowania na nowoczesnych podstawach olbrzymich obszarów Rosji i Ukrainy musiałyby trwać długie dziesiątki lat bez pomocy amerykańskiej finansowej i maszynowej. Tu klucz sytuacji leży w rękach Stanów i można liczyć się z należytych wygraniem tego atutu, niezależnie od uznania, jakie Amerykanie żywią dla dzielności sowieckiego żołnierza.

Pozostaje sprawa drugiego frontu, bez której omówienia na konferencji w Moskwie nie obejdzie się. Wydaje się rzeczą pewną, że Anglicy a w szczególności Amerykanie, godząc się na samą zasadę, nie dadzą się nakłonić do przedwczesnego uderzenia i stosownie do przewodnich linii swojej strategii, uderzą w chwili, gdy elementy rachunku strategicznego wykażą maximum prawdopodobieństwa sukcesu.

Konferencja moskiewska będzie niewątpliwie tylko wstępem. Właściwe i wszechstronne omówienie wraz z powzięciem obowiązujących decyzji nastąpić musi w bezpośredniej wymianie zdań mężów stanu dźwigających na barkach swoich główny ciężar prowadzenia wojny Sprzymierzonych Narodów: Roosevelta, Churchilla i Stalina.

STANISŁAW VINCENZ

BRAMA DO WĘGIER

*Sąsiadowi z drugiego brzegu Dunaju Panu
Aprilyi Lajosowi poświęcam.*

W dziejach węgierskich — jeśli tak nazwać dzieje wydarzeń na ziemi Węgier — wspomina się Dunaj naogół nie tak często, raczej przygodnie: o ile szczególne zdarzenia uwydatniły jego znaczenie.

* W geografii nazwę »brama« stosuje się tylko do do t. zw. »żelaznej bramy« Dunaju. Nam chodziło o coś co raczej możnaby w przenośni określić jako nazwę dziejową a, co odnosi się do średniego biegu Dunaju.

Oto czytamy — i to zapewne najcharakterystyczniejsze z tych wspomnień, że w czasie wojen krzyżowych dolina Dunaju stała się głównym szlakiem dla zastępów krzyżowców. W ślad zatym kraj »włączył się w orbitę handlu światowego« i wielu cudzoziemców osiadło na ziemi węgierskiej. Nieco później uderza nas fakt, iż Mongołowie wykorzystali pokrycie Dunaju lodem dla przebycia rzeki i spustoszenia zachodnich ziem węgierskich. Znaczenie Dunaju w pierwszych ciężkich zmaganiach z Turkami kulminuje w odsieczy dla Beogradu przez Hunyadego.

W każdym razie odczuwano w tej epoce wciąż, że obrona Dunaju to obrona Węgier. Nieraz zapewne i Dunaj sam z siebie tworzył sytuacje, na przykład w pamiętnym wylewie rzeki w roku 1838. Bez wątpienia przyczynił się on do przyspieszenia regulacji Dunaju, co było połączone ze znaną inicjatywą hrabiego Szecheny'ego.

Byłoby ciekawe wyszukać więcej podobnych przykładów, a mógłby to uczynić tylko historyk. Wszystkie te zdarzenia mimo, że jednorazowe i wynikłe nieraz z jednorazowych sytuacji są wyrazem faktu stałego, permanentnego jakim jest Dunaj dla życia kraju. Są wskazówką, że on jest codziennym tłem dla dziejów ciągłych, a nie tylko dla tych rzekomych słupów milowych, czynów i wydarzeń szczególnie pamiętnych, czy ocalonych od zapomnienia. Że stale łączy albo dzieli ludzi, że stwarza im udogodnienia lub utrudnienia, że zagraża i niszczy, wyzywa do wysiłku i opanowania.

Dunaj jest tu ciągłą obecnością. Około tego krążą niniejsze notatki.

Opisujemy nie więcej niż wrażenia i refleksje. Także tu i ówdzie nasuwające się pytania. Bylibyśmy szczęśliwi gdybyśmy wywołali jakąś odpowiedź jako dowód, że trafnie pytamy. Bo w takim razie pytania i odpowiedzi byłyby w małej części odbłaskiem tego co niezapomnienie wyrażone jest w »Protagorasie« — Platona: »Pytasz pięknie, a ja rad jestem, że mogę odpowiadać tym, którzy pięknie pytają«.

Stary mit o Proteuszu szczególnie dobrze symbolizuje wielopostaciowość wody i świata wodnego. Nie mówimy tu oczywiście o chemicznych asocjacjach wody, ani o tym jakie ma np. znaczenie dla budowy organizmu. Prosto większa ilość wody w zewnętrznej przyrodzie, taka czy inna łączność jej z konfiguracją terenu sama stwarza już najróżniejsze postaci o różnym wyrazie i mające różny wpływ na życie ludzi. Od strumyka górskiego poprzez formacje wielkich rzek, jezior czy mórz jakże różnorodna skala! W żywiole tym, w świecie wód odczuwamy jakby coś z przeciwnego nam bieguna bytowania, coś co nas ludzi wabi i pociąga, ale też odpycha a nawet przeraża. W stosunku do wody człowiek pozostaje na powierzchni, zresztą jak we wszystkim na ziemi. To co najbardziej nam znane, lustrzana gładkość toni, odzwierciedlenie nieba, chmur, przezroczystość i barwy wody, to zjawiska powierzchni. »Głębie« w których widzimy odbicia, to głębie zwierciadła wodnego nie głębia wody, głębia rzeczywistości obca dla nas, nawet straszna. I dlatego coś bardziej może być ujmującego i intymnego jak strumień górski albo cienisty potok jaru leśnego! Bo są na pograniczu obu żywiołów lądu i wody, są jakby igraszką dla upiększenia powierzchni ziemi. Albo jezioro górskie o głębi raczej barwami i tonami barw, po malarsku, zaznaczonej niż faktycznej, — symbol głębi wyniesionej na szczyty, jakby głębokość tajemniczego oka gór. Z trudem więc tylko możemy wyobrazić sobie ogromne mroczne wnętrza rzeczy-

wistej głębinie, głębinie wielkiej rzeki, jakieś nielitościwie i wiecznie zimne, ruchomo płynne tury, łożyska niewyczerpanej wilgoci, dziedziny stworzeń zimno-krwistych. Nie możemy sobie wyobrazić ciężaru masy wód, któryby nieustannie uciskał plecy nurka, gdyby mógł pozostać na stałe lub nieco dłużej w głębinach, gdyby wędrował głęboko ukrytem dnem: jakby na jakiejś innej planecie, Słońce daleko, oddzielone warstwą żywiołu, który zaledwie precedza nieco światła, cisza i głusza, usta i głos zapieczętowane na zawsze. Mimowoli łączymy z głębiną myśl o natychmiastowej śmierci. To też gdy nawet w poezji przenosimy się na dno wód, jak w staroruskiej bylinie »Sadko kupiec« albo w Wyspiańskiego »Legendzie«, — natychmiast przeinaczamy i przełamujemy ten kardynalny wizerunek głębi — milczenie. Napełniamy głębinę mową lub śpiewem. A raczej zbliża nas do prawdziwego charakteru żywiołu wodnego taki poeta jak Jean Giono. W »Le Chant du Monde« opisuje on pływaka i wędrowca wodnego — »człowieka rzeki«. Ten głębię i jej prądy nawet w ciemności wyczuwa brzuchem, udami i piersią, usiłuje się upodobnić w tym do ryb i innych dzieci świata wodnego. Więc chociaż głębia — rzec można — potrzebna dla nas ludzi, zbawienna nawet, jednak trzymamy się od niej zdaleka, pozostajemy na powierzchni. Nie myślimy zresztą przecież ani o wnętrzu gleby na której pracujemy, ani o wnętrzu naszego ciała, ani ciał innych ludzi, nie pamiętamy o głębiach podświadomości. Na małych łódkach przeslizgujemy się po powierzchni nad głębinami. Jednak kto był raz na małej łodzi, na rzece wzburzonej wiatrem, albo kto przeżył burzę morską lub widział falę oceanu wie, że mimo wszystko przeżywamy głębię pośrednio. Jej głos dochodzi do nas jako groźba i to nam wystarcza. Doświadczenia nurków i łodzi podwodnych jak dotychczas czy to nie stały się czemś w rodzaju habitus, czy nie doczekały się wyrazu w literaturze. Wystarczy jednak popatrzyć jak zmienione, ba zniekształcone, są twarze pływaków po nurkowaniu, by przekonać się czym jest głębia dla człowieka nie wspomóżonego odpowiednimi maszynami.

O rzece myślimy albo praktycznie, czym jest dla naszych korzyści i wygod, lub co w niej jest wrogię i groźnego, bądź też teoretycznie jakie jej znaczenie dla formowania się powierzchni ziemi i krajobrazu.

Gdy myślę o tym czym jest rzeka i uprzytamniam sobie jak trudna jest charakterystyka tego zjawiska, przypominam sobie doświadczenia pewnego dobrze znanego mi chłopaka, który mając lat dziewięć bawił się pomysłowo. Raz zabawił się w Pana Boga, a siostrzyczce i kuzynce wyznaczył rolę aniołków. Chciał stworzyć rzekę, potym nieco skromniej już potok. Wyrył wcale pracowicie dość głęboki rowek na stoku pagórka i przygotował sporo wody. Nakazał tedy swoim aniołom lać wodę do rowka. Niestety i wody zabrakło i aniołowie zbuntowali się a nawet przy powtórzeniu doświadczenia dolekał zamulił się, woda wsiąkała. Wrażenia potoku nie było.

Na pozór rzeka nie ma cech wykończonej planowej pracy i może wydać się improwizacją. Jednak gdybyśmy powiedzieli, że rzeka czy potok, to nic więcej jak tylko poprostu rów dla spuszczenia wody z całej okolicy, patrzylibyśmy na sprawę tę oczami owego chłopca. W rzeczywistości rzeka jest dziełem, któremu na małą skalę tylko i w drobnych odcinkach mogą dorównać najtęższe dzieła celowe. Jest też nieustannym pracownikiem jakiemu nie ma równego. Jak w dziele sztuki celowość i «technika» rzeki osłonięta jest odniechceniem i jak gdyby improwizacją. Rzeki, strumienie potoki, to w każdym razie stare dzieje, nieraz bardzo stare doświadczenia naszej ziemi. To stosunek, w pewnych granicach ustalony, między źródłami, prądami powietrznymi, chmurami, opadami, nasłonecznieniem, parowaniem i zawartością gleby. Dość powiedzieć, że bywają rzeki znacznie starsze od wysokich gór, które wzniosły się ponad ich łożysko. (Przykładem i dowodem klasycznym znany nam ze szkoły słynny »przełom« Dunajca.) Rzeki to wyraz struktury i niemal celowej konieczności całego kraju. To stary akord zgody, głębokie prawidłowe zgranie się wielu czynników.

Gdybyśmy mogli sobie wyobrazić, że jakaś nadludzka przeszkoda czy praca zdołała zatamować Dunaj na zachodniej granicy Węgier — jakież zmiany na całym kontynencie Europy środkowej, jakie zmiany w jej całej przyrodzie musiałoby to wywołać. Toczy się on zątem przez kotlinę węgierską, nie tylko jako wynik równowagi całej przyrody ale także jako jej warunek.

Gdy oglądam Dunaj przypominam sobie, że w starszym malarstwie krajobrazowym Chin istniała szkoła, której mistrzowie i uczniowie całe życie poświęcali studiowaniu i malowaniu wielkich rzek swej ziemi w całym biegu od źródła aż do ujścia. Były to równocześnie krajobrazy i prawie jakieś żywe, malarskie mapy, coś pośredniego między mapą a obrazem. Tak nieschematyczne, tak przemawiające do oczu i serca jak obrazy, a tak dokładne i wyrozumowane jak plastyczne mapy. I mimowoli wyrwa się westchnienie by jakaś szkoła malarska na Węgrzech w podobny sposób poświęciła się Dunajowi, by usiłowała stworzyć dlań takie pomniki. Powiadam: poświęcić się, gdyż tylko zupełne zatopienie się w krajobrazie może dać jego prawdę i jak gdyby żywot istoty żywej. A nie krajoznawcze amatorstwo, choćby utalentowane formalnie, ani patriotyzm taki, który wyobraża sobie, że sztuka służąc mu może mu pomóc.

Nie moja to rzecz mówić o zadaniach malarstwa. Zaznaczę jeszcze tylko, że w proporcji takiej nie chodzi mi wcale o malarstwo realistyczne ani tym mniej naturalistyczne, czy jak się to mówi fotograficzne. Dunaj jest istnością widzialną — i niewidzialną. Należy to do największych zadań malarstwa w wielkim stylu odkrywać i odsłaniać istności i ich tajemnice. Nie jako zewnętrzne »przedmioty« lecz tak jakby same owe istności pisały i malowały dla oczu, dla optycznej wyobraźni i optycznej świa-

domości człowieka. I przecież połowę conajmniej pracy malarskiej daje już Dunaj sam: barwy, kontury, perspektywę, kompozycję nawet wyraz. Resztę, to niewidzialne »pismo światowe« ma wydobyc malarz ze swego obcowania z rzeką, zapamiętały w oglądaniu i zgadywaniu a karny w środkach swego malarskiego wyrazu. Wtedy jest prawdziwym odkrywcą i przez to wychowawcą siebie i ludzi. Wprowadza ich w kosmos jako w »Orbis pictus«. Byłaby tu pewna analogia między dwiema całkiem odrębnymi dziedzinami, między pracą malarza, który malując spełnia intencje Dunaju, a pracą technika, który przez regulację rzeki utrwała i zapewnia mu brzegi utorowane i zamierzone przez wieki. Jasne jest w dalszym ciągu, że wszelka konwencja i szablon, szczególnie najbardziej podstępny i wyjaławiający jakim jest sentymalna tradycja, a nawet szablon filozoficzny, przypuszczenie jakoby istniały niezależne od siebie »rzeczy« i »przedmioty«, musi być odrzucony przez malarza — odkrywcę. Niech tajemnica odsłania się w zapamiętaniu się światłem, przez przejrzystość powietrza i wód, przez barwy i przez cienie jakby malowały siebie same. Przez wyraz: przez rytmikę opadania duszy i przez rytm smutku, przez wzniesienie się nadziei i porywu, przez trwanie, czekanie, przez trwogę, groźbę i pełne męki, niezdecydowanie i przez opętanie. (To wszystko mają w sobie drzewa Ruisdałków.) W dalszym ciągu przez kompozycję, to jest społeczność elementów, ich walkę ich zgodę i przyjaźń. Wtedy to rzeka i człowiek światłem wyzwola się z grawitacji, z ciała. Wtedy to rzeka stanie się czymś więcej niż rzeka, niż »realistyczny«, codzienny i praktyczny jej aspekt. Poza nią ukazuje się daleko oblicze Przyjaciela, mistrza źródeł i gospodarza przestrzeni wodnych, które czeka. Błysk jego świętych oczu, niesłychany głos, — a to wszystko osiąga się przez pokorę istności, przez ciszę duszy gotową do przyjęcia jej znaków, przez wierność taką i taką domyślność, której służą i narzędziem jest fantazja twórcza.

Takie »zatopienie się« w krajobrazie dunajowym odsłoniłoby może w ostatecznym a mimowolnym wyniku niejednego tajnika z dziejów Węgier. Dziejów całości a nie tylko wypadków i szczegółów. I może z takich prac malarskich bardziej zrozumiały stałby się Dunaj nie tylko jako czynnik formujący ziemię, ale także jako skrót dziejów.

O mej ojczystej ziemi napisałem kiedyś — przywodząc słowa myślącego człowieka, — że Czeremosz to najstarszy jej gazda i piastun. Cóż powiedzieć o Dunaju? Wydawałoby się prawie, że taka duża rzeka zwłaszcza gdy brzegi jej umocnione, obwarowane tamami, gdy jest opasana mostami, opanowana żegluga, przebywana codziennie tysiącem łodzi, że ta rzeka jest służą ludzkiego gospodarstwa. W rzeczywistości Dunaj to dopiero potężny gazda swej ziemi. Potężny i dawny.

Jeśli szukamy przetwórczej, formującej teren pracy Dunaju, szczególnie rzuci się ona w oczy środkowym biegu Dunaju, który nie troszcząc się o nazwy utarte,

nazwaliśmy bramą. Tam, gdzie na przestrzeni od Esztergomu poza Budę rzeźbi góry, rozszerza kotliny, zmienia nagle kierunek biegu, zwracając się tędy i owędy. Wszystkie te tak różnorodne szczegóły doliny wyżłobionej i wymodelowanej przez Dunaj, w której dał tyle okazji dla roślinności, dla wszelkiego życia, dla uprawy i pracy ludzkiej, mają w sobie częstokroć coś słodkiego, coś uszczęśliwiającego. Miniatury różnych krajobrazów połączone ze sobą, przelewające się jedna w drugą. Czasem nawet coś z beztróskiego południa, często jakoś nieoczekiwania synteza, szczęśliwa zgoda i przyjazne sąsiedztwo przeróżnych stref.

Zapewne u podstawy tej harmonii leżą ramy i formy wypracowane przez rzekę. Wiele krzywizn, wiele zakrętów, mnóstwo zagięć. A wszystko rzeźbione cierpliwie, wszystko łagodne, falistopłynne, niemal wypieszczone.

Przede wszystkim nieoczekiwane zmiany kierunku rzeki, łuki potężne na złagodzone szerokimi jakby niedbale, od niechcenia rzuconymi zalewami. To znak, że ma czas, że nie spieszy się rzeka, że bogata w wodę. I tak też powoli, rzekłbyś zgodliwie, rozwidla się Dunaj. Jedno ramię seledynowe, drugie ciemno granatowe. Oddalają się od siebie, to znów się zbliżają. W drobnych intymnych szczegółach rytmu każde ramię ma swą autonomię, a w rytmie głównym zgodne są jak para tancerzy rozdzielonych chwilowo, tańczących osobno. Związane tam samym rytmem równolegle i równocześnie wykonują te same zwroty i zakręty. Oba ramiona ciągną ze sobą całą sieć strug: mlecznych, błękitnych, zielonych i burch. Tu i tam oddzielają się waziutki odnogi jak samodzielne rzeczki, wiją się wężykowato wśród alei drzew jakby umyślnie nad brzegami zasadzonych. Daleko biegną wężykowate linie brzegów podkreślone szeregami drzew, opasane białymi ławicami, nie kończące się pianissima zagięć, ślady harmonijnej gry wód.

W tych łukach, w tych ramach i wokół nich mnóstwo dekoracji i szczegółów. Białe ławice ufnie wydeły w fale małe brzuszki i pępki, jak dzieci fali Dunajowej. Jak pawie oczka po różnych zakątach rzeki drzemią sobie ustronne zatoczki i ciche przystanki. Czubate, zalesione wysepki, wilgotne kępy z soczystą zielenią. Ogromne piaszczyste wyspy przez Dunaj przed wiekami zbudowane, a wciąż podsypywane. Dziś urodzajne, zamieszkałe, na zielonych paszach pełno tam bydła na wiosnę, latem wyspa złoci się zbożami. Nad samymi brzegami łaski trzciny przechodzą w łany kukurydzy. Na wiosnę kukurydza zielona, a trzciny żółtawe jak zboże. Jesienią żółknie kukurydza, a czuby trzciny różowieją. Tam też obszary miniaturowej dzikiej puszczy, latem spalone przez słońce, zdeptane przez bydło, graniczą z ciemną zielenią starannie uprawnych winnic. Spójrzmy nieco dalej i w inną stronę: łagodne pasemka gór, zaciszne stoki z winnicami i sadami. Na wiosnę zupełnie białe od kwiecica. Nieco niżej, nad samym brzegiem ciche, białe domki wieś-

niaków odbijają się szeregami w wodzie. Albo zwierciadlane, okienne, tafle pałaców, gładkie jak toń Dunaju płomienieją w słońcu. Kolorowe wille toną w zieleni, nieraz wznoszą się na tarasach usypanych z nakładem wiekiej pracy, podobnie jak we Włoszech, na miejscach starannie wyszukanych, szczególnie ciepłych. Miejsca te odrazu przenoszą nas w dalekie południe. Ze wszystkich osiedli, z zamieszkałych wysp, z zatok, ze stoków o pewnych godzinach grają i śpiewają dzwony. Odpowiadają jedne drugim kaplice, kościoły i tummy.

Dostrzegamy też różne postacie pracy i eksploatacji rzeki. Strome różowe kamieniołomy nadbrzeżne z kolejkami dowozowymi, liczne barki, unoszące kamień. Ciemne stateczki drzewem wysoko naładowane bez motoru powolutku sunące w dół po rzece. Piramidy piachu przygotowane do wywiezienia. Niezliczone fury zwożące piasek. Młyny na łodziach, zakotwiczonych dość daleko od brzegu, czasem w środku rzeki, zaopatrzone w ogromne koła młyńskie wykorzystujące tęgi prąd dla zmielenia zboża. Brzegi rybackie: rybackie lepianki z małymi dymnymi okienkami, zakotwicone czarne łodzie rybaków i sieci suszące się wśród wierzb.

Tak to przeróżne życie oblepiło Dunaj jak pszczoły swe plastry. Ale gdy ogarnąć okiem całość kotliny jak daleko wzrok sięga, zwłaszcza na potężnych łukach rzeki pod Esztergomem, Visegradem albo pod Vácem, przypomina ona ową olbrzymią perspektywę i dal obrazów Petera Breughela, które wyrażają jakiejś nadludzkiej rozszerzenie duszy. I cechą główną ram tej kotliny jest, rzekłbym, bohaterskość bez bohaterów. Tylko wczesną wiosną, gdy Dunaj zaczyna wypływać i ciskać ku północnemu brzegowi zwały lodu i góry, kry rozwalając i niszcząc brzeg, widać kto tu jest a raczej kto był bohaterem tego rozszerzenia. Powiedział ktoś, że trzeba dużo cierpieć, aby stać się pięknym. Czyż to naprawdę tak? Widziałem w naszych górach niesamowite, apokaliptyczne powodzie. Jakież zagony heroicznego wieku rzeki. Po nich wyglądało wszystko odrażająco: brzegi jakby obłupione ze skóry i zasypane wnętrzościami ziemi. Jak długo cierpi żywa istota — a taka dolina rzeki ma w sobie coś żywego — jest brzydka. Chyba, że zdoła zapomnieć, ale tak jak to objawił nam Dante przez symbol Eunoë. Eunoë to bliźniacze ramię strumienia Lety. Działają zawsze razem i tylko razem. A oznacza to w »czyścicu«, że pamięć wyzwolonej z cierpień istoty zachowuje tylko to najlepsze. Zdaje mi się, że nasze czasy powinny by sobie przyswoić ten mało znany symbol. Bo samo zapomnienie mogłoby stać winą: »zapomnieć — zawinić!« — powiada Wyspiański w »Kazimierzu Wielkim«. Czegoś podobnego można dopatrzeć się w formach Dunaju, ze swych walk zachował on piękną ramę dla krajobrazu.

Lecz rzeka choć tak ustalona przez wieki, a do pewnej doskonałej formy uzupełniona przez ludzką pracę, ma jeszcze świadków i cierpiących współników swej walki, swego heroizmu. Naokoło Dunaju nie-

wiele widziałem prawdziwie niezależnej od ludzi przyrody. W górach naddunajskich, szczególnie na prawym brzegu Dunaju w tak zwanych górach Pilis, są wprawdzie spore obszary lasów, z których największe należą do Korony Węgierskiej. Wszystkie te, niejednokrotnie miłe zespoły leśne, wraz z towarzyszącymi im asocjacjami roślinnymi, to raczej parki, w miarę zaniedbane, a czasem uczesane, oswojone. Po wyrębach nie zdołałyby znów stać się gospodarzami terenu, gdyby nie ludzka ochrona. Już sama posucha, tak często panująca latem, jest czynnikiem hamującym; zapewne wstrzymuje odrodzenie bujności lasów i ich zespołów. Więc właściwie jedyną prastarą pomniki przyrody widzi się chyba tylko wzdłuż brzegu Dunaju. To drzewa nadbrzeżne, zawdzięczające sobie samym i rzece byt i moc. Lecz w wielu miejscach te karmione wilgocią nadbrzeżną olbrzymy stanowią obraz męczarni żywych istot w walce o byt. Jeszcze więcej niż »naturę« widzimy w nich czasem »morturę«, obraz nieustannego umie-

rania i niszczenia. Nieustannie zagrożone przez fale, przez wylewy, co roku prawie szturmowane i niszczone przez nawały lodowej kry. Ich liczne korzenie oplukane przez wodę, nagie jak potworne mątwy lub liany, wpijają się w brzeg kurczowo. Drzewa odarte z kory, powykęcane albo powalone na ziemię. Nieraz rozkraczone i po upadku oparte jakby na czworakach na konarach, puszczają z nich nowe korzenie. Tak trwają starowieczne pomniki: wierzyby, topole, osiki i olsze. One to — oprócz skał — we współzyciu z rzeką utrzymują jej ramy. Stanowią zapewne najstarsze obwarowania brzegów rzeki. Starsze od podmurowań ludzkich, od wszelakich bastionów i molów jakie się widuje w miasteczkach i miastach. I może nawet wiele pokoleń drzew trzymało tak rzekę przez wieki w ramach. Ludzie zrozumieli rolę tych drzew, użyli ich pomocy. W obwarowania rzeki, w mury i tamy włączono je, jako główne filary bastionów. Otoczono je murem albo betonem, aby trzymały ludzkie dzieło, chroniące brzegi. *c. d. n.*

JAN REYCHMAN

ZE WSPÓŁCZESNYCH ŚWIADECTW O BITWIE POD PARKANAMI

Dziewiątego października upłynęło 260 lat od słynnej bitwy pod Parkanami. 9 października 1683 r. król Jan Sobieski na czele wojsk sprzymierzonych rozgromił pod Parkanami armię turecką, dopełniając tym zwycięstwo spod Wiednia. W cieniu wiktorii wiedeńskiej zaciera się wspomnienie o Parkanach, aczkolwiek bez Parkan bynajmniej nie osiągnięte byłyby wszystkie owoce z Wiednia. Rozgrywająca się na terenie węgierskim, w okolicach wielu nam znanych, bitwa parkańska zasługuje dziś z okazji jej 260-letniej rocznicy na poświęcenie jej wzmianki.

Zwycięstwo pod Wiedniem poraziło armię turecką zagrażającą stolicy cesarskiej, pozostały wszakże silne załogi tureckie na Węgrzech w Érsekújvárze, Esztergomie, Budzie. Sobieski orientował się, że, armie te jeszcze mogą być groźne, że bez ich pokonania niebezpieczeństwo tureckie nie będzie usunięte. Z pod Wiednia zwrócił się więc na Węgry i 26 września 1683 przeprawiwszy się przez Dunaj na Csallóköz podążył lewym brzegiem Dunaju w stronę Esztergomu. Po drodze nie spotkali wojsk tureckich; coprawda wodzowie cesarscy namawiali Sobieskiego, aby udać się pod trzymaną przez Turków Érsekújvár, ale król pozostał przy swoim planie.

Dopiero przy samych Parkanach przednie oddziały polskie zetknęły się z podjazdami tureckimi. Rozpoznanie dało wyniki niespodziewane, okazało się, że stoi tam większa siła niż przypuszczano. Wojska polskie do walki nie były przygotowane. »Nas nie było wszystkich pięciu tysięcy« — pisał król — »bo

jednych pozabijano, drudzy pomarli trzeci chorzy a największa część w taborze przy wołach krowach owcach i zdobyczach.« Namawiano króla, aby się z tej imprezy wycofał. Król postanowił jednak przyjąć walkę. »Tymczasem uderzył nieprzyjaciel na pana wojewodę ruskiego« — pisał król — »Odparło go jego skrzydło. Drugi raz znowu spróbował — toż uczyniło. Trzeci raz jak skoczył nieprzyjaciel, tak okrążył skrzydło jego i w tył mu poszedł, a drudzy sprzodu go zmieszali. Gdy tędy to skrzydło zmieszane uchodzić poczęło, ruszyłem przeciw tym co pana wojewody ruskiego skrzydło już z tyłu okrążyli i przy lasce Bożej wsparłbym ich był zaraz. Ale skorom się tylko ruszył i obrócił frontem do nieprzyjaciela a liści środek i lewe skrzydło, przeciwko któremu nie było nieprzyjaciela razem skoczywszy poczęli uciekać...«

Manewr okrążający nieprzyjaciela powiódł się w całej pełni; nieprzyjaciel zaszedłszy na tyły doprowadził do paniki. Wszyscy rzucili się do ucieczki. W walce poległ wojewoda pomorski Dönhoff.

W czasie ucieczki w kłopotliwej sytuacji znalazł się i sam król, który został na samym końcu i znalazł się w niemalym niebezpieczeństwie osobistym, tylko z kilku towarzyszami. Już z tyłu coraz bliżej nacierali Turcy. Współczesny »Dyaryusz wiedeńskiej okazji« Dyakowskiej opowiada, że w pewnej chwili mijał ich jakiś rajtar. Wówczas ktoś z otoczenia królewskiego zawołał: »Panie rajtar, tyś spod królewskiego regimentu, wtrzymuj konia a pil-

nuj nas, będziesz miał wielki respekt i nagrodę, tylko nie odstępuj...!» Tymczasem już jakiś Turek nacierał na naszych jeźdźców, nie wiedząc nawet, że ma przed sobą monarchę. Sytuacja stała się groźną. Ktoś krzyknął znów do naszego rajtara. »Zmknij się panie rajtar, obróć się na tego Turczyka...« Rajtar obrócił się, starł się z Turkiem, co umożliwiło królowi swobodną ucieczkę, ale rajtar poległ bohatersko. Naprzód nazajutrz szukano jego zwłok; rajtar zaginął bez wieści.

Mimo porażki Sobieski bynajmniej nie stracił ochoty do dalszej walki. Następnego dnia, 8 października dokonano przeglądu wojsk. Pytał król, kto ma kopię, wielu bowiem w czasie ucieczki porzuciło broń. Zdarzyło się, że jeden pacholek zachował kopię, a jego pan porzucił. Gdy zwrócono uwagę na owego dzielnego pacholka ów odpowiedział: »Mospanie! Jam dla siebie wywiózł tę kopię z potrzeby, nie porzuciłem jej jak drudzy...«

Stopniowo powracał animusz i rosła ochota do pomszczenia klęski. 9 października ruszył Sobieski z nową siłą i tym razem odniósł zwycięstwo. »Król Imć po niepomysłnym sukcesie pod Granem zaraz nazajutrz 60 tysięcy Turków położył na placu, dział sześć w polu odebrał, wezyra i dwunastu baszów przy nim pojmał« — pisały listy współczesne. Król też zaraz w liście do Marysienki radował się osiągniętym zwycięstwem. »O, jako to dobry Pan Bóg, moja jedyna, kochana Marysienko! Za małą konfuzję dał większe zwycięstwo niżeli pod Wiedniem...«

Pozostawał jeszcze Esztergom olbrzymia forteca panująca nad całą okolicą. Parę tygodni trwały przygotowania nim przystąpiono do szturm. W koń-

cu października i ten bastion wpadł w ręce chrześcijan. Triumf Sobieskiego był zupełny. W liście z 27 października 1683 tak opisuje Esztergom. »Jest to forteca najprzedniejsza całego Królestwa Węgierskiego, arcybiskupstwo, zamek — wielki bardzo na górze wysokiej i skale...«. Już po zdobyciu miasta zwiedził go szczegółowo i opisał w jednym ze swych listów: »Jest kilka raritates (rzadkości, osobliwości) bardzo pięknych w tym Strygoniu. Naprzód, że ta góra wszystka na której stoi zamek jest z samych tylko marmurów różnych kolorów, mianowicie takich czerwonych jakie są na zamku w Krakowie w kaplicach. Druga, że z tejże góry nie wiedzieć wiele ciecze źródła wody ciepłej, tak że w sadzawkach tej wody żaby w dzień św. Szymona Judy wrzeszczały re re re jako u nas w maju...« Były to źródła zwane obecnie Szent István-fürdő.

Esztergom zakończył działalność wojenną wojsk polskich na Węgrzech. Spod Esztergomu Sobieski poprowadził swe wojsko ku Polsce. Po pełnym przygodnym marszu, stanął w połowie grudnia 1683 r. na ziemi polskiej.

Epizod węgierski kampanii Sobieskiego znaczony nazwami Párkány i Esztergom miał poza wojskowym znaczeniem doniosłe skutki polityczne, wszak były to lata powstania Thököliego, wszak z obozu Sobieskiego nici polityczne prowadziły do kancelarii Michała Telekiego, mądrego kanclerza Michała Apafiego ostatniego księcia Siedmiogrodu. Ale sprawy te, aczkolwiek pośrednio wiążą się z przemarszem Sobieskiego przez Węgry stanowią temat rozważań zupełnie odrębnych, któreby znacznie przekroczyły niniejsze ramy.

Życie codzienne czterech stolic

Tocząca się wojna stworzyła w krajach i miastach całego świata nowe warunki życia, do których ludność musi się przyzwyczaić. Zachodzące braki są oczywiście różne w poszczególnych krajach i zależne przede wszystkim od warunków gospodarczych.

Oto jak wygląda to życie na codzień w opisach korespondentów prasy węgierskiej.

BERLIN.

Korespondent »Pesti Hirlap« nazywa stolicę Rzeszy miastem mężczyzn. Od kilku tygodni w każdą sobotę dworce berlińskie zapelniają się nowym typem pasażerów, mianowicie słomianymi wdowcami, udającymi się do swych rodzin na 1 rowincji.

Z chwilą ewakuacji z Berlina kobiet i dzieci ustał ostatnio bardzo dotkliwie odczuwany brak mieszkań. Opróżniły się hotele, znaleźć można pokoje umeblowane, a nawet ukazały się bardzo dawno niewidziane napisy: mieszkanie do wynajęcia.

Po odjeździe kobiet, dzieci i starców spadły również obroty w sklepach. Zdaniem korespondenta, mleczarnie

sprzedające kiedyś 50 litrów mleka, dziś z trudem sprzedają 8—10 litrów.

Życie mężczyzn pozostających w miastach bez żon i rodzin stało się oczywiście trudniejsze. Wielu prowadzi wspólne gospodarstwa. Prasa berlińska wprowadziła nową rubrykę: »Jak dam sobie radę?«, podając codziennie rady gospodarskie. Tematem dnia stało się gotowanie, sprzątanie i pranie. W Berlinie i Hannoverze urządzono kursy gotowania dla mężczyzn. W zachodnich Niemczech założono kuchnie dla słomianych wdowców. Opiekę nad bielizną objęły związki kobiece, stwarzające pozostałe jeszcze w mieście kobiety.

Zupełnie odmienna sytuacja wyłoniła się na prowincji. Tam brak dziś mieszkań, brak mebli i urządzeń gospodarskich. Dlatego sprowadza się teraz z mieszkań w stolicy (i innych zagrożonych miast) wszystko co najkonieczniejsze, bez czego mogą się obyć pozostali w stołecznym mieszkaniu mężczyźni. W związku z tym przeciążona została w nieprawdopodobny sposób zarówno kolej jak i poczta, a nadzwyczajne pociągi przewożą obok pasażerów, całe góry skrzyń i bagażu.

Na prowincji tworzy się dla przybyszów stołecznych nowe ośrodki, punkty zaopatrzenia żywnościowego, wspólne kuchnie, szwalnie, przychodnie lekarskie, szkoły i ochronki dla dzieci. W miejscowościach w których brak szkoły, stworzono nowe ośrodki szkolne. Wiele młodych dziewczyn i bezdzietnych kobiet podjęło się odpowiedzialnej funkcji nauczycielki względnie ochraniarki.

Ewakuacja miast trwa jeszcze dalej. Wyprowadzające się rodziny poznać można nie tylko po licznych bagażach, ale również i po zimowych płaszczach, trzymanyh w rękach.

TOKIO.

Życie stolicy Japonii stoi pod znakiem pracy. Od chwili wybuchu wojny nie obchodzi się już wszystkich świąt. Z pozostałych dwu uroczystości najważniejszą jest święto kwiecia czereśni, na które zjeżdżają się z prowincji olbrzymie tłumy.

Hasłem dzisiejszego dnia jest: praca! Na głównych ulicach znajdujemy co krok olbrzymie reklamy, którymi fabryki wzywają do zgłoszenia się do pracy nowych robotników. Instytucje inwalidzkie w Tokio nie wytwarzają już pantofli, lecz materiały wojenne. Z ulic pozbierano wszystkich żebraków i włóczęgów, przewożąc ich do obozów pracy.

W mieście trwa jeszcze wciąż praca nad przebudową ulic. Znosi się zbyt gęsto zamieszkałe dzielnice i zbyt ciasne ulice. Przy placu Miayama zmiesiono stare domki drewniane, a na ich miejscu powstał w ciągu kilku tygodni żelbetonowy schron na z tysiące osób. Na wypadek alarmu znajdują tu pomieszczenie nie tylko przechodnie, lecz również mieszkańcy okolicznych domków, które przeważnie nie posiadają wogóle piwnic.

W Japonii wszystko podrożało: garderoba — pięciokrotnie a żywność — dziesięciokrotnie. Jedno pozostało nadal tanie: mieszkania. Nawet właściciele domów muszą udzielać obniżki komornego rodzinom zaciągniętych do wojska. Dzierżawa dwupokojowego mieszkania ze ścianami bambusowymi i oknami z celofanu wynosi na rok prawie tyle, co u nas na miesiąc. Tani jest jedwab, przy czym zbieraniem kokonów zajmują się obecnie kobiety i dzieci. Najtańszym pożywieniem są ryby. W restauracjach niekiedy dania rybne wypełniają całą kartę potraw: zupa rybna, ikra gotowana na mleku, głowa rybia z uomiki, czyli grochem gotowanym na sosie pomidorowym. Groch odgrywa w Japonii tę rolę co u nas ziemniaki.

Ruch na ulicach jest bardzo znaczny, poważnie zmniejszył się ruch samochodowy; ilość taksówek spadła do jednej dziesiątej. Wprowadzono natomiast nowe wozy elektryczne. Riksze trzeba zamawiać telefonicznie.

Od rana do wieczora trwa nieprawdopodobny upał. Tubylcy dają sobie z nim radę w ten sposób, że wypijają niezliczone ilości gorącej herbaty oraz często prażą się pod gorącymi natryskami. Natryski te znajdują się w fabrykach i koszarach.

i Prawie 80 procent mężczyzn służy w wojsku. W burach, fabrykach, tramwajach, laboratoriach i pracow-

niach lekarskich zastępują mężczyźni kobiety. Utworzono nawet dwa pułki kobiece, do których przyjmowano dziewczęta z ukończonym 20 rokiem życia. Uzbrojone w nowoczesny sprzęt, pułki te wyruszyły już do kolonii.

NOWY-JORK.

Obrazek z życia nieoficjalnej stolicy Stanów Zjednoczonych (oficjalną jest przecież Waszyngton) zamieścił w opisie swego korespondenta szwajcarski »Journal de Genève«.

Korespondencja pisana była w okresie wielkich upałów sierpniowych i dlatego kanikuła jest jej głównym tematem. Autor artykułu w pierwszej linii wyjaśnia, że Ameryka nie zna co to jest wiosna. Jeszcze w początku maja przechodziło się przez zamarznąłą Niagarę, a już po trzech tygodnia Nowy Jork nawiedziły takie upały, jakich ludzie nie pamiętają od lat.

W Nowym Jorku nikt pieszo nie chodzi, nawet obecnie w okresie wojny. Każdy chroni się przed zabójczymi promieniami słonecznymi. Do krótszych przejazdów używa się autobusów, do dłuższych zaś kolejkę podziemnej. Pomimo zastosowanych na każdym kroku wentylatorów w kolejce podziemnej upał jest nie mniejszy niż na powierzchni. Wentylatory spotykamy zresztą na każdym kroku: w biurach i sklepach. Wielkie firmy jedynie mogą sobie pozwolić na wielki luksus, rozwiązujący zresztą idealnie zagadnienie gorąca, mianowicie na zestawienie instalacji wtłaczającej chłodzone powietrze. Oczywiście chłodzone powietrze zastosowano również w wielu domach.

Po pracy nowojorczyce tłumnie dążą do miejskich kąpielisk. W godzinach wieczornych natomiast tłumy wypełniają olbrzymie stadiony, na których odbywają się najrozmaitsze imprezy, przedstawienia oraz koncerty. Szczególnie w ostatnich latach spopularyzowano koncerty na wolnym powietrzu, przy czym dla orkiestr wybudowano specjalnie akustyczne muszle. Widownie tych »sal koncertowych« pod gołym niebem pomieszczają 25—30 tysięcy słuchaczy. Występują na nich najlepsze orkiestry symfoniczne pod dyrekcją światowej sławy kapelmistrzów i z udziałem artystów-mistrzów ze wszystkich krajów świata. Programy tych koncertów popularnych są typowo amerykańskie. Obok bowiem jednej i drugiej symfonii, lub jej fragmentów, symfoniczna orkiestra gra któryś z popularnych walców, fragment z operetki, nawet marsze i popularne piosenki. Hymn amerykański jest na każdym koncercie codziennym zjawiskiem; wówczas stoi nie tylko publiczność, ale również orkiestra gra stojąco.

Obniżenie do połowy porcji benzynowych ograniczyły poważnie ruch samochodowy, jednak starczą na wyjazd na plażę i na »week-endową« wycieczkę. Niezależnie od tego stwierdzono zwiększoną frekwencję w nowojorskim ogrodzie zoologicznym, botanicznym i w muzeach, do których uczęszczają ci, którzy rezygnują z wyjazdów w przepelnionych pociągach.

LONDYN.

Znany dziennikarz szwajcarski Peter Lauten następująco opisuje życie stolicy Wielkiej Brytanii.

Powtarzające się przed rokiem prawie codzienne naloty niemieckie pozostawiły w Londynie ślady, których dotychczas, z braku sił roboczych, nie zdołano jeszcze usunąć. Ruiny zbombardowanych czy spalonych domów sterczą jeszcze dziś.

Ciekawym zjawiskiem ulicy londyńskiej są małe baseny z wodą gesto rozstawione po ulicach miasta. Są one wielką uciechą dla dzieci, puszczającej po powierzchni basenów małe jachciki i stateczki. Baseny te ustawiono na podstawie dotychczasowych doświadczeń, aby mieć do gaszenia wodę na wypadek uszkodzenia rurociągów.

Na trwające pogotowie przeciwlotnicze wskazują stopy worków z piaskiem, wznoszące się przed oknami piwnicznymi przed każdym domem. Klienci wchodzą do urzędów, banków i hoteli poprzez boczne wejścia, gdyż główne bramy są pozamykane. Pod placami, parkami i w ruchliwszych punktach wybudowano schrony, przy których obsługa pełni straż dniem i nocą. Na dworcach kolejki podziemnej dziś jeszcze stoją długie szeregi łóżek polowych dla wypoczynku na wypadek alarmu lotniczego. Zaciemnienie trwa od zmierzchu do świtu.

Przedstawienia teatralne rozpoczynają się o godz.

6 popołudniu, odczyty i wykłady odbywają w godzinach południowych, podczas gdy koncerty — przeważnie w soboty i niedziele popołudniu. Londyńskie teatry, kina i koncerty są stale przepełnione. Bilety zakupuje się niekiedy na kilka tygodni naprzód. Niektóre sztuki osiągnęły 500 przedstawień, a jeden z filmów grany jest w premierowym kinie bez przerwy od trzech lat. Wielkie jest również zainteresowanie płytami gramofonowymi. Obecnie nie stosuje się prowadzonego w okresie poprzedniej wojny bojkotu niemieckich książek i utworów.

Najrozmaitszego kroju i koloru mundury nadają ulicy londyńskiej barwny wygląd. Obok mundurów żołnierzy państw sojusznicznych, dominialnych, Kanadyjczyków, Nowozelandczyków, Australijczyków, Hindusów i Południowo-afrykańczyków, widzi się coraz częściej mundury żołnierzy amerykańskich. Anglicy nigdy nie lubili mundurów, a oficerowie zawsze po służbie przebierali się w cywilne ubranie. Dziś jednak mundur jest modny. W mundurach chodzą również kobiety, pełniące służbę pomocniczą przy różnych formacjach. Największym zaszczytem dla dziewcząt jest służba przy oddziałach lotniczych,

STEM

Dziennikarstwo sportowe w Polsce

Choć na ziemiach polskich od dawna uprawiano takie ćwiczenia fizyczne, jak ślizgawkę, pływanie i tenis, za datę od której zaczyna się historia sportu polskiego, przyjmuje się rok 1905 t. j. rok powstania wielkich małopolskich klubów sportowych we Lwowie: «Czarnych» i «Pogoni», w Krakowie: «Cracovii» i «Wisły», oraz pierwszych publicznych spotkań sportowych pomiędzy tymi klubami. Razem ze sportem zrodziło się dziennikarstwo sportowe. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że dziennikarstwo często wyprzedzało sport, gdyż pewne gałęzie sportu nieznane w Polsce propagowało, a zawsze w społeczeństwie torowało drogi ideom wychowania fizycznego zapoczątkowanym przez dr. Jordana, «Ojca sportu polskiego». Co dziwniejsze — nasze dziennikarstwo sportowe bynajmniej nie zaczęło się od krótkich wzmianek o zawodach, lecz od artykułów poważnych i to tak opracowanych, że dzisiaj byłyby ozdobą łamów najlepszych periodyków sportowych. Pisał je Kłóśnik-Januszewski, dziennikarz lwowski, który redagował dział sportowy w «Słowie Polskim». Do pionierów dziennikarstwa sportowego należał prof. Wacck, dziś nestor dziennikarzy sportowych i laureat nagrody dziennikarskiej ufundowanej przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i P. W., oraz Hemmerling — ojciec —, obaj lwowianie.

Kraków przez kilka lat pozostawał w tyle za Lwowem, aczkolwiek i «Czas» i «Nowa Reforma», a później «Ilustrowany Kurier Codzienny» zamieszczały od czasu do czasu wzmianki o zawodach sportowych. Pisali je członkowie klubów sportowych W. Sperber, Lustgarten i inni. Pierwszym dziennikarzem sportowym Warszawy

był St. Biernacki, który obsługiwał jednocześnie kilka dzienników stolicy.

W tym okresie dziennikarstwo sportowe ograniczało się do notowania zdarzeń na boiskach. O życiu organizacyjnym mało było wzmianek, artykułów propagandowych lub popularyzatorskich prócz Kłóśnika a później prof. Piaseckiego nikt nie pisał. Sprawozdania sportowe umieszczano w dziennikach na ostatniej stronie, który to zwyczaj przechował się do naszych czasów. Jak wspomniałem dziennikarkę sportową uprawiali przeważnie sportowcy, którzy często prócz wiedzy sportowej i dobrych chęci, niczego do pracy nie wnosili. To też poziom artykułów sportowych był naogół niewysoki, a styl nieszczególny. A pisać o sporcie było w tych czasach niełatwo. Sport nie miał jeszcze swojego języka, dziennikarze musieli stwarzać neologizmy dla opisanego tego, co działo się na boiskach, albo adoptowali wyrazy obce, co dawało purystom językowym temat do wyrzekania na zachwaszczanie języka polskiego. Pisano przeważnie o piłce nożnej, która w tych czasach była jedynym sportem masowo uprawianym.

Taki stan trwał do wojny światowej. Po wojnie, gdy kluby i związki sportowe zaczęły powstawać, jak grzyby po deszczu, gdy nie było niedziel bez zawodów sportowych, działy sportowe w dziennikach rozrosły się i wzrósł popyt na artykuły o sporcie. Stopniowo wszystkie dzienniki w Polsce musiały przyznać sportowi prawo obywatelstwa na swoich łamach.

Najlepsze pióra dziennikarskie gromadziły się wokół tygodników sportowych, periodyków poświęconych wyłącznie sportowi. Pierwszym tygodnikiem sportowym był

krakowski »Przegląd Sportowy« (1921) redagowany przez T. Synowca, a później przez Ferdynanda Goetla. Z wybitniejszych dziennikarzy zamieszczali w Przeglądzie artykuły Faecher — o narciarstwie i J. Zapielski — o szermierce. Tygodnik ten prócz sprawozdań i artykułów popularyzatorskich dawał felietony sportowe, tłumaczenia z prasy zagranicznej, korespondencje z prowincji, oraz komunikaty urzędowe ze związków sportowych.

W Krakowie prócz »Przeglądu Sportowego« wychodził ponadto żydowski »Tygodnik Sportowy« redagowany przez Lesera, a później »Kurier Sportowy« wyróżniający się wielką ilością dobrych ilustracji. We Lwowie prof. Wacek borykając się z trudnościami finansowymi wydawał tygodnik »Sport«.

Grupa dziennikarzy sportowych zebrana przy »Przeglądzie Sportowym« i »Sporcie« spełniała rolę propagatorów sportu. Na łamach tych pism zapoznawano społeczeństwo ze sportem, wskazywano na jego wartości wychowawcze, zdrowotne i społeczne dając przykłady z ruchu sportowego w Anglii, Francji i U. S. A., gdzie wychowywano młodzież w duchu lojalnej emulacji sportowej i sport włączono do systemu wychowania. Nie uznawano sportu jako celu dla siebie, zwalczano i odżegnywano się np. od zawodowstwa w sporcie, wskazując na konieczność podporządkowania ruchu sportowego celom społecznym. Wodzem duchowym dziennikarzy z tego okresu był Pierre Coubertin, twórca nowoczesnych olimpiad, który nawiązując do czasów greckich, w programie nowoczesnych olimpiad umieścił literaturę i sztukę, aby podkreślić, że kultura fizyczna nie stoi z sprzeczności z duchową. Przyznać trzeba, że dziennikarze sportowi zawsze byli wiernymi propagatorami idei olimpijskich.

Krakowskie i lwowskie tygodniki sportowe miały duży wpływ na młodzież. W innych miastach Polski też ukazywały się tygodniki sportowe, lecz były to efemerydy, nie mające trwałych podstaw finansowych i szybko kończące życie. Na sportowy dziennik w rodzaju »L'Auto« lub wiedeńskiego »Sporttagblattu« Polska nigdy się nie zdobyła.

Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był wielki rozrost rubryk sportowych w codziennych pismach. Przewodził tu »Illustrowany Kurjer Codzienny« w Krakowie, gdzie rubrykę sportową redagował A. Obrubański i warszawska »prasa czerwona«, gdzie byli czynni J. Erdmann i K. Gryżewski. Pisma te poświęcały bardzo dużo miejsca wyczerpująco i fachowo pisanim sprawozdaniom z zawodów i z życia towarzysztw sportowych, kładąc nacisk na szybkość informacji. Podrywało to istnienie tygodników sportowych ukazujących się z opóźnieniem (z uwagi chociażby na ilustracje) »Przegląd Sportowy« po długim okresie borykania się z trudnościami finansowymi został sprzedany koncernowi »prasy czerwonej« i przeniósł się do Warszawy. Tam pod redakcją Kazimierza Wierzyńskiego, a później M. Strzeleckiego odżył dzięki temu, że poszedł z duchem czasu, »zamerykanizował się«, wprowadził pewne innowacje i wyציągnął właściwe wnioski z gustów publiczności.

Te nowe awangardowe sposoby pisania o sporcie, są

zasługą »Stadionu«, tygodnika wychodzącego od r. 1924 w Warszawie, organu P. U. W. F. i P. W. Redaktorami »Stadionu« byli H. Królikowski, płk. Osmolski i M. Majcher. Stadion zgromadził szereg świetnych piór, specjalistów w poszczególnych działach sportu, a więc ludzi, którzy nawet sportowcom mieli coś ciekawego do powiedzenia. W »Stadionie« pracowali W. Denhoff-Czarnocki (turystyka, sport wodny, narciarstwo), Kazimiera Musiałówna (sport kobiecy), T. Semadeni (pływanie, tenis, lekkoatletyka), J. Szyszko-Bohusz (lekkoatletyka, narciarstwo), Al. Szenajch (korespondencja z Belgii), Tomy (karykatura, felieton), i najbardziej charakterystyczny dla grupy stadionowej Wiktor Junosza-Dąbrowski. Ten ostatni przebywając w Paryżu pierwszy zaczął pisać reportaże sportowe. O ile dotychczas w prasie sportowej podkreślano stronę wychowczą i społeczną sportu — o tyle Junosza uderzył w ton apoteozowania czempionów, kultu dla ich wyczynów dopatrując się w ich rekordach zwycięstwa silnej woli, pracy nad sobą, samozaparcia graniczącego z bohaterstwem. Inny kierunek reprezentował W. Denhoff-Czarnocki, przedwcześnie zgasły poeta. Tego interesował sport w połączeniu z przyrodą, wskazywał na wzruszenia estetyczne jakie dają ćwiczenia sportowe na wolnym powietrzu, na piękno narciarstwa lub turystyki.

»Stadion« był wielką szkołą dla dziennikarzy sportowych, najtęższe pióra z niego się wywodzą. »Stadion« jako organ P. U. W. F. i P. W. zależny od subwencji z czasem stracił część wybitniejszych piór i przestał odgrywać tę rolę co w swych początkach. Spadek po nim przejął »Przegląd Sportowy«, redagowany żywo i popularnie, nie szczędzący pieniędzy dla zdobycia szybkich informacji o imprezach odbywających się w Polsce lub zagranicą.

W Krakowie w miejsce »Przeglądu Sportowego« powstał tygodnik »Raz, Dwa, Trzy« wydawany przez koncern I. K. C., a redagowany przez A. Obrubańskiego. Z wybitniejszych dziennikarzy pisali w nim Długoszowski (wioślarstwo), J. Kałuża (piłka nożna), A. Szenajch oraz Rafał Malczewski (świetne korespondencje, z Zakopanego i nowelki narciarskie). W ostatnich czasach »Raz, Dwa, Trzy« zarzuca prawie zupełnie suche, fachowe sprawozdania z zawodów, przechodząc na artykuły pisane lekko, w stylu felietonowym, przeglądy okresowe wydarzeń sportowych, przekroje życia towarzysztw, wywiady z asami sportowymi lub organizatorami sportu, na nowele i humoreski sportowe, zamieszczając jednocześnie sporo dobrych ilustracji.

Inne miasta Polski nie miały tygodników poświęconych wyłącznie sportowi. O sporcie jednak nadal dużo pisano w dziennikach. Każdy dziennik miał swego sprawozdawcę, a ponieważ wychowankowie Wyższej Szkoły Dziennikarskiej o sporcie nie zawsze miewali pojęcia, dziennikarstwem sportowym po staremu przeważnie trudnili się sportowcy. Stwarzało to różne komplikacje zawodowców, ponieważ syndykaty dziennikarskie nie chciały dziennikarzy sportowych przyjmować na członków i przyznawać im praw dziennikarskich. W te sprawy wdał się w końcu P. U. W. F. i P. W. i z jego inicjatywy w r. 1925 powstał Polski Związek

Dziennikarzy i Publicystów Sportowych. Pierwszym prezesem związku był Wacław Sikorski. Związek miał siedzibę w Warszawie, a podlegały mu związki okręgowe w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Łodzi, Katowicach, Poznaniu i Wilnie. Jednym z najważniejszych wydarzeń organizacyjnych był kongres międzynarodowy prasy sportowej w Warszawie, któremu przewodniczył p. Bouin prezes Międzynarodowego Związku Dziennikarzy Sportowych.

Prócz dziennikarzy pracujących w tygodnikach sportowych, redagujących działy sportowe w dziennikach, należy również wspomnieć o dziennikarzach sportowych w agencjach (sportowych jak Centrosport) i P. A. T. oraz w Radio (najwybitniejsi Włodarkiewicz, Trojanowski) tudzież o publicystach sportowych pracujących naukowo. Skupiali się oni około Centralnego Instytutu W. P. i drukowali swe prace w organie tej instytucji.

P. U. W. F. i P. W. doceniając prace dziennikarską wyznaczył nagrodę dla dziennikarzy najbardziej zasłużonych. Laureatami tej nagrody byli: Junosza, prof. Wacek, Długoszowski i Strzelecki.

Najwyższą nagrodę, bóg złoty medal na Olimpiadzie zdobył K. Wierzyński za tomik poezyj p. t. «Laur Olimpijski».

Od r. 1905 do 1939 nie wiele upłynęło czasu, jednak rezultaty pracy nad propagandą sportu były olbrzymie. Sport nie tylko zapalił młodzież, ale zdobył i dorosłych dla idei fizycznego odrodzenia Polski. Ostatnio sport miał swój budżet w P. U. W. F. i P. W. i był przedmiotem obrad Sejmu; z zabawy niedorostków stał się nieomal ruchem społecznym, który regulowało państwo.

A lwią zasługę tego stanu rzeczy, mają ci ludzie z ostatniej kolumny dzienników, ci bezimienni dziennikarze sportowi, którym niniejszy szkic poświęcam.

ŚCIANA PŁACZU

*Kilka starych kamieni
i płacz — przez tysiące lat ...
Gdybym mógł to zamienić
na Wierzbową i Nowy Świat,*

*szedłbym z Ziemiańskiej do Ipsu,
płacząc rzewnymi łzami,
a we mnie Apokalipsą,
babilońskimi rzekami*

*łkatoby i szlochało
Jeremiaszową pieśnią
serce, to znaczy — chaos,
warszawskie serce po Wrześniu ...*

*Ten wiersz, który krwawi i szczydzi,
te słowa nic już nie znaczą:
przyszedłem tu płakać, Żydzi,
pod Ścianą Płaczu.*

*Wsiądź w dziewiątkę i jedź do końca,
na górę Scopus.
Tam staniesz w kurzawie słońca;
jak nad wodami potopu
tęcza osłepiająca.*

*Stoi nad Martwem morzem
cherub o twarzy miedzianej.
Polata nad Jordanem
orzeł.*

*Dziewięćsetletni prorocy
idą przez białe pagórki.*

*Anioł trzyma w swej mocy
Lota i jego córki.*

*Spoglądasz cicha
na białe, kamienne domy.
Pamiętaj o ogniach Sodomy,
pamiętaj o trąbach Jerycha.*

*Zielnią się łąki kwietniem.
Wiedzie Jakób synów dwunastu.
Zwróć twarz ku Staremu Miastu,
ku grobom tysiącletnim*

*I radość twoją i ciebie
wciąż ściga cmentarz.
Samoloty w warszawskim niebie
pamiętasz ?*

*Spójrz na północ, na Siedem Sióstr, —
któż je zamienił w kamień co płacze ?
Kamienieją tak w posąg rozpaczy
ludzie zaciętych ust.*

*Dalej na północ — błękit i mgła,
świat nieprawdziwy, cały ze szkła,
i widać, jaki jest krwawy,
Tamtędy będziesz sła
do Warszawy.*

*Spojrzeń mych Wisła
jeszcze cię raz opłynie.
Tęcza przysła.*

Na Katamon wrócimy o szarej godzinie.

Władysław Broniewski

Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU OBYWATELSKIEGO

Sprawozdanie z działalności

„Koła Pań odwiedzających chorych w szpitalach w Budapeszcie“ za okres od dnia 1. XI. 1941 r. do dnia 30. IX. 1943 r.

Wśród uchodźstwa polskiego na Węgrzech znajduje się sporo chorych przebywających w szpitalach (około 60 osób). Większa część z nich jest bez rodzin i odczuwa tym bardziej swą niedolę i osamotnienie.

Na apel Katolickiego Duszpasterstwa Polskiego kilka pań-uchodźczyń zorganizowało w październiku 1941 r. »Koło Pań odwiedzających chorych w szpitalach w Budapeszcie«.

Celem Koła jest przyjście z pomocą nieszczęśliwym rodakom w czasie choroby. Akcja ta nosi charakter charytatywny i panie pracują honorowo. Zarząd został wybrany z pośród członkiń i ustalono zasady działalności Koła mianowicie :

1. chorych odwiedza się raz w tygodniu (w czasie ciężkich wypadków częściej)
2. każda z pań ma pod opieką chorych stale w jednym, szpitalu.
3. raz w tygodniu odbywają się zebrania, na których są omawiane potrzeby i prośby chorych.
4. wydatki dla chorych wspólnie są decydowane.
5. Co 3 miesiące jest dokonywana kontrola przez Komisję Rewizyjną.

Zarząd Koła utrzymuje stały kontakt z Sekcją Lekarzy Polskich, która podaje nazwiska i adresy chorych. Rolę stałego doradcy z ramienia Sekcji Lekarzy przyjął na siebie p. Gen. Jan Kołtąj-Srzednicki, którego stała współpraca z »Kolem Pań« i żywe zainteresowanie się jego sprawami poważnie ułatwia wykonywanie zadań. Początkowo »Koło Pań« miało wielkie trudności finansowe, gdyż otrzymywało tylko 10 pengő z Przedstawicielstwa Wojska Polskiego na pokrycie wydatków związanych z przejazdami do chorych. W celu zebrania pieniędzy na potrzeby chorych urządzano kilkakrotnie imprezy, licytacje amerykańskie przedmiotów ofiarowanych przez uchodźców, jak również otwierano kilkakrotnie listę składek. Nadmienić należy, że społeczeństwo uchodźcze bardzo gorliwie poparło tę akcję. Katolickie Duszpasterstwo przyszło z pomocą finansową »Kole Pań« asygnując początkowo 100 P. a potem 200 P. miesięcznie. Pomoc dla chorych w miarę rozwoju pracy Koła i zdobywanych funduszy coraz bardziej rozszerzała swój zakres.

Początkowe obdarzanie chorych owocami i drobnymi podarunkami rozwinęło się w akcję dostarczania w miarę możliwości chorym bielizny, ubrania i racjonalnego dożywiania. Wyjątkowo ciężko chorym n. p.

chorym na gruźlicę dostarczano masło, jajka, słoninę, miód i. t. p. Z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy chorzy otrzymywali podarki n. p. ciepłe skarpetki, rękawiczki, szaliki i. t. d. oraz paczki żywnościowe. Musimy zaznaczyć, że Węgierski Czerwony Krzyż, ilekroć zwróciło się »Koło Pań« z prośbą o bieliznę, swetry, ręczniki i. t. p. rzeczy dla chorych, zawsze chętnie i szybko załatwiał zapotrzebowania. Sytuacja finansowa »Koła Pań« uległa w bieżącym roku znacznej poprawie dzięki pomocy Komitetu Obywatelskiego, który przyznał początkowo 300 P., potem 700 P., a od czerwca 1943 r. 1000 P. miesięcznie dla chorych dzięki temu »Koło Pań« ma zapewnioną możliwość zwiększenia pomocy chorym. Chorzy obdarzają odwiedzające je panie wielką wdzięcznością i zaufaniem i powierzają im nie tylko sprawunki, ale i różne sprawy osobiste. Celem zilustrowania pracy »Koła Pań« załącza się sprawozdanie rachunkowe.

Sprawozdanie Kasowe

Koła Pań za czas od 1 listopada 1941 r. do 30 września

1943. r.

A) Dochód

1. Subwencja Komitetu Obywat.....	8,500.— P.
2. » Kat. Duszp. Pol.	1,980.21 »
3. » Sekcji Lekarzy Pol.	250.— »
4. » Przedst. P. Ż. I.	258.— »
5. Ofiary i dary osób prywatnych	1,084.81 »
6. Dochody z imprez	494.05 »
r a z e m	12,576.07 P.

B) Rozchód

1. Artykuły żywnościowe	10,453.57 P.
2. Bielizna, mydło, lekarstwa wydatki kancelaryjne i drobne	963.52 »
3. przejazdy do chorych	881.85 »
r a z e m	12,298.94 P.
saldo	268.13 P.

Przypominamy o wpłacie prenumeraty za bieżący miesiąc. Zalegającym z wpłatą prenumeratom zostanie wstrzymana wysyłka pisma.

Wpłaty dokonać można na konto czekowe Nr. 19.06 .

GŁOS ŻOŁNIERZA

NR. 6. — DODATEK DWUTYGODNIOWY DO
„TYGODNIKA POLSKIEGO-MATERIAŁÓW OBOZOWYCH“

REDAGUJE PRZEDSTAWICIEL POL. ŻOŁN. INT. NA WĘGRZECH

Dyscyplina wewnętrzna

Wielu z nas wzdyga się na sam dźwięk słowa dyscyplina — jesteśmy przecież podobno narodem indywidualistów, którzy nie znoszą ciasnych ograniczeń zakazów i trudno nas nagiąć do posłuszeństwa — tym się nawet chlubimy. Istnieje tutaj jednak pewne nieporozumienie. Możemy się chlubić, że byliśmy nieposłuszni obcym nakazom, godzącym w nasze narodowe istnienie, nie mamy jednak najmniejszego powodu do chluby, gdy również w stosunku do swoich nakazów manifestujemy takiego samego rodzaju nieposłuszeństwo.

Upajanie się słowami, że jesteśmy narodem indywidualistów oznaczałoby, że nie potrafimy wytworzyć wyższych form współżycia zbiorowego, że zbyt często bylibyśmy skłonni do wyłamania się z pod praw, którymi rządzi się gromada i co najsmutniejsze, że nie rozumielibyśmy konieczności istnienia tych praw, nie rozumielibyśmy sensu życia zbiorowego.

A tymczasem życie zbiorowe, ta nie grupa indywidualistów żyjących każdy dla siebie oddzielnie. Wolność każdego człowieka, żyjącego w gromadzie kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego, a życie zbiorowe nie we wszystkim podobne jest do życia indywidualnego, ma swoje odrębne zasady, swoje własne prawa, według których reguluje się stosunki między poszczególnymi członkami grupy, ma swoje własne cele. Członek grupy musi uznać to wszystko i podporządkować się. W tym wewnętrznym uznaniu praw i reguł opartym na rozumieniu celu życia zbiorowego, leży główny sens dyscypliny wewnętrznej, która oznacza także rezygnację z wielu osobistych dążeń i poświęcenie się dla dobra ogółu. Poświęcenie się zresztą nie bezinteresowne, gdyż każde życie zbiorowe ułatwia życie jednostce i zapewnia jej takie dobra, których nie mogłaby osiągnąć, żyjąc samotnie — jak np. rozbiitek na bezludnej wyspie.

Dyscyplina wewnętrzna jest tym głębsza i doskonalsza im lepiej członkowie grupy społecznej rozumieją cel i zdanie tej grupy np. członek ochotniczej straży ogniowej tym gorliwiej wykonywa rozkazy, im lepiej rozumie szkody mające wyniknąć z jego opieszałości. Lepszym żołnierzem t. j. lepiej wykonującym rozkazy jest napewno

ten, który lepiej rozumie jak ważne zadanie ma do spełnienia armia.

Ludzie mają rozmaite temperamenty, jeden jest bardziej uległy, inny mniej, ale jeden i drugi, żyjąc zbiorowo, podlegają tym samym prawom gromady. Człowiek z natury uległy staje się łatwiejszym do kierowania, człowiek porywczy, samowolny — trudniejszy. W stosunku do pierwszego wystarczy uświadamianie go, w stosunku do drugiego sięgnąć należy do arsenału środków przymusowych dla wymuszenia podporządkowania się. Samo istnienie środków przymusowych nakłania bardzo często ludzi samowolnych do przestrzegania reguł i wykonywania rozkazów i z czasem posłuszeństwo staje się ich cechą charakteru, co oznacza już istnienie dyscypliny wewnętrznej.

Nadmiar jednak wymagań i gwałtowność środków może przynieść wręcz odmienny skutek i może doprowadzić właśnie do jawnego nieposłuszeństwa.

Dyscyplina wewnętrzna, gdy chodzi o większe grupy społeczne, nie przychodzi odrazu. Są narody gorzej i lepiej zdyscyplinowane. Zależy to nie tylko od indywidualnych cech charakteru ludzkiego, ale od tego, czy życie zbiorowe i społeczne osiągnęło wysoki stopień rozwoju przez pracę całych pokoleń. Można powiedzieć, że narody dobrze zdyscyplinowane przeszły długoletni trening życia zbiorowego. Gdy przed takim narodem staną bardzo ważne zadania, wymagające zbiorowego wysiłku, ofiar i poświęceń, to dyscyplina napewno dopisze — dobrzy rolnicy, robotnicy, kupcy, sportowcy stają się dobrymi żołnierzami.

Im bardziej życie zbiorowe przybiera zróżniczkowane formy, tym dyscyplina więcej ma zastosowania. Czy np. w wielkiej fabryce, gdzie pracują tysiące robotników, gdzie praca jest zorganizowana jak w zegarku, gdzie najmniejsze niedbalstwo i nieposłuszeństwo mogłoby przynieść wielkie szkody, może nie być wysoko postawionej dyscypliny?

Nowoczesna cywilizacja, która tak przyspieszyła tempo życia jednostki i zbiorowości, o ile dąży do polepszenia bytu jednostki, o tyle rozwija formy życia zbiorowego. Bez dyscypliny wewnętrznej trudno mówić o postępie, o rozwoju.

Jednostka stale musi składać ofiary ze swej swobody na rzecz ogółu. Ogół stara się o podniesienie, jednostki — wytwarza się człowiek uspołeczniony, który jest wyrazem harmonii między życiem indywidualnym a zbiorowym.

Przed nami, gdy wrócimy, leżeć będzie wielki szmat ziemi ojczystej, na którym ujrzymy wiele ugorów. Musimy stanąć karnie i wyteńczyć siły, aby te ugory zamienić na żyzne pola. Nie będziemy podobni do hałaśliwego zbiorowiska ludzi, którzy nie wiedzą co mają robić i od czego mają zaczynać. Bądźmy podobni do karnego oddziału sprawnie i szybko zabierającego się

do pracy. Każdy staje na wyznaczonym miejscu, każdy nawiązują łączność ze swym sąsiadem z prawa i z lewa, każdy czuje się członkiem wielkiej gromady polskiej, pracującej przy odbudowie kraju.

Czekajmy na tę chwilę w postawie na »baczność«. Żołnierz stojący na »baczność« — to nie wyciągniętą nieruchomo kuka, »żołnierz na baczną« to jak zawodnik na starcie, to skoncentrowana uwaga, to napięta wola, to natychmiastowa gotowość do działania.

Żołnierska postawa na baczną jest najlepszym wyrazem dyscypliny wewnętrznej — niechże ona będzie dzisiaj także wyrazem gotowości w służbie Ojczyźnie.

MGR. TEUCHMANN STANISŁAW

Pomniki mówią...

Na prawym brzegu Dunaju, w Budzie na Pálffy-tér, skąd otwiera się przepiękny widok na wyspę i most Małgorzaty, gmach parlamentu i most łańcuchowy Sechenyiego, Węgrzy postawili pomnik Józefowi Bemowi, o którym pisał największy poeta węgierski Petőfi, »że

jeżeliby można było, do jakiegokolwiek człowieka modlić się jak do Boga, to pokłonilby się i zgięły kolana przed Bemem«.

U stóp pomnika Bema, została wmurowana cegła ze ściany dworku z pod Tarnowa, gdzie Bem przyszedł na świat.

Józef Bem już we wczesnych latach jako młody oficer artylerii, odznaczył się wybitną odwagą i inicjatywą w kampanii rosyjskiej Napoleona, by stać się sławnym w czasie powstania listopadowego, (za bitwę pod Ostrołęką) i o mało co nie został naczelnym wodzem wojsk polskich w chwili dla powstania najkrytyczniejszej. W pełni jednak wybitne zdolności strategiczne i wielkie zalety wodzowskie zajaśniały u Bema, kiedy oddał swoje usługi Węgrom, podczas »Wiosny Ludów« 1848 r., walczącym o wyzwolenie się spod władztwa Austrii.

»Ojciec Bem« oto główny napis na pomniku. Poniżej tego wyryto nazwę miejscowości Piski (gdzie wojska węgierskie stoczyły jedną z najcięższych bitew), oraz słowa Bema wypowiedziane tam podczas najgorętszej chwili walki: »Spowrotem zajmę most, albo polegnę, naprzód Węgrzy, jeśli nie ma mostu, nie ma ojczyzny« Tak przedstawia się front cokołu pomnika.

Celem wyjaśnienia należy zaznaczyć, że bitwa pod wsią Piski stoczona między wojskami węgierskimi a austriackimi, w dniu 9. IV. 1849. r. zdecydowała o zawrotnym powodzeniu kampanii siedmiogrodzkiej Bema. Z Siedmiogrodem zaś wogóle, związana jest najpiękniejsza karta wojenna Bema, jako wodza. Ona to rozstrzygnęła, że w chwilach najkrytyczniejszych powstania węgierskiego, Bemowi proponowano naczelne dowództwo wojsk węgierskich.

Lewa i prawa strona cokołu pomnika, pokryta jest nazwami 32-ch miejscowości, związanych z kampanią siedmiogrodzką i jej zwycięskim wodzem. Twórcy pomnika nie zapomnieli wyryć na tylnej części cokołu wiersza Sandora Petőfiego, poświęconego Bemowi (z lutego 1849 r.) W prostych słowach pełnych żaru patriotycznego wielbi Petőfi »ojca Bema«. Nic może tak dosadnie nie ilustruje powszechnego wówczas uwielbienia dla wodza, jakiego Polska dała Węgrom, jak owe szczere i wzruszające dogłębnie słowa Petőfiego.



Pomnik Bema w Budapeszcie.

»Bóg i szczęście« — skarży się Petófi — »opuszcili Węgrów; zostało tylko jedynie opiekuńcze ramię Bema«. Petófi nazywa dalej Bema wodzem, uwielbienia godnym, którego wielkość duszy musi się podziwiać ze łzami w oczach. Wiersz kończy strofa jaką przytoczyłem we wstępie artykułu.

Poniżej wiersza Petófiego wypisano jeszcze następujące słowa lorda Rothermere (wielkiego przyjaciela Węgier po traktacie w Trianon): »Niech ten pomnik będzie przed światem symbolem wyzwolenia Węgier«.

„A szovjet fegyvergyár titkai“

(Artykuł poniższy zamieszczony był w tygodniku węgierskim »Képes Vasárnap« z dnia 26. IV. 1943 r.)

W ciągu ostatnich dwudziestu lat, dowództwo czerwonej armii zamieniło Rosję w jedną olbrzymią fabrykę broni, gdyż dwustumilionowe, bogate w surowce państwo, miało jeden cel. Celem tym było zbrojenie. Rosyjskie fabryki broni nie tylko sporządzały w wielkiej ilości działa, czołgi i samoloty, ale przygotowywały masę niespodzianek dla nieprzyjaciela. Bardzo ciekawe są niżej opisane rozmaite gatunki broni, z którymi walczyły na froncie żołnierz często się spotyka. Rosjanie od najdawniejszych czasów są znawcami w kierunku używania materiałów wybuchowych, ale zdolność tę udoskonalili specjalnie od czasu panowania komunizmu. Wielokrotnie używali Rosjanie tego sposobu, że fabrykowali gatunki broni całkowicie podobne do nieprzyjacielskich. Broń ta podobna była do nieprzyjacielskiego karabinu, granatu czy naboju, we wnętrzu zaś ukrywał się materiał wybuchowy.

Żołnierz często spotykał porozrzucane niemieckie granaty ręczne, które tak były sporządzone, że po odrwaniu bezpiecznika, granat momentalnie wybuchł w rękę. Często natrafiali żołnierze niemieccy lub węgierscy na rozrzucone naboje niemieckiej fabrykacji, które po pociągnięciu spustu karabinu, rozrywały lufę nie tylko raniąc żołnierza ale także niszcząc cenną broń. Rosjanie fabrykowali również karabiny, podobne do karabinów niemieckich, natomiast w miejscu, gdzie żołnierz chwycił za karabin w momencie strzału, — prześwidrowano niewidoczny prawie otwór, prowadzący także przez lufę karabinu. W chwili strzału wytwarzające się gazy o temperaturze 2.500 stopni Celsjusza, wydostawały się na rękę żołnierza, powodując ciężkie oparzenia bądź spalając ciało aż do kości. Często znajdowano także paczki bandaży z niemieckimi lub węgierskimi napisami. W chwili rozwijania bandaży, umieszczony we wnętrzu materiał wybuchowy, eksplodował w rękę żołnierza, powodując natychmiastową śmierć.

Na każdym miejscu rozrzucałi Rosjanie zegarki, pióra wieczne i t.p. przedmioty, które przy ich nakręcaniu lub użyciu wybuchły względnie rozpryskiwały plyn powodujący ciężko gojące się rany. Zostawiali też butelki od rumu lub wina, żołnierz chcąc dostać się do napoju, musiał wyjąć korek a w tym momencie umieszczony we wnętrzu plyn łącząc się z powietrzem, wybuchł. W

Oprócz ulicy Bema, która prowadzi od Pálffy-téru, mamy jeszcze w Peszcie inną pamiątkę poświęconą Bemowi. Przy ulicy Akademia 1. w ścianę domu wmurowano w 1926 r. staraniem Komitetu Węgiersko-Polski go, tablicę pamiątkową, z płaskorzeźbą przedstawiającą popiersie Bema. W domu tym bowiem mieszkał Bem od 9 do 27 listopada 1848 r., kiedy po przedostaniu się na Węgry został przyjęty z otwartymi ramionami przez największego męża stanu Węgier owych czasów i organizatora walki o wolność — Ludwika Kossutha.

wielu miejscach znaleziono telefony, które po zdjęciu słuchawki eksplodowały, oraz kurki wodociągowe które po ich przekręceniu rozszarpały nieprzyjacielskiego żołnierza umieszczonym wewnątrz materiałem wybuchowym.

Rosjanie lubują się szczególnie w powodowaniu wybuchów przy pomocy radia. Gdy w danym miejscu, gdzie pozostawili materiał wybuchowy, stwierdzą przez szpiegów, że znajdują się tam nieprzyjacielskie oddziały, powodują wybuch tegoż materiału przy pomocy fal radiowych.

Rosjanie używają niezliczonej ilości min. Choć oddziały niemieckie i węgierskie doszły szybko do wprawy w wyszukiwaniu zakopanych pod ziemię min to jednak Rosjanie utrudnili tę akcję najrozmaitszymi sposobami. Zakopywali np. dwie miny, jedną pod drugą, łącząc je drutem. W chwili gdy żołnierz wykopywał pierwszą, drut wyrywał przez pociągnięcie bezpiecznika drugiej miny i ta wybuchła. W wielu wypadkach używali podpatrzonego sposobu niemieckiego i umieszczali w języku niemieckim tablice z napisami orientacyjnymi: »Pole nie podminowane« — »Niebezpieczeństwa nie ma« — »Wolna droga dla pieszych«. Naturalnie te właśnie tereny były podminowane. W chwili gdy żołnierze zbierający miny zbliżali się do nich w każdym wypadku ktoś musiał nastąpić na jedną z min które były zakopane wokoło miny leżącej na ziemi. W celu wykrycia nieprzyjacielskich pól minowych Rosjanie nie używali ludzi, lecz na teren podejrzany zapędzali krowy, kozy lub inne zwierzęta, które przez tratowanie powodowały wybuch i oczyszczały teren.

Można się było spotkać na szosach rosyjskich ze zrzucanymi z samolotów metalowymi, silnymi gwoździami, podobnymi do gwoździ do butów, które zawsze stawały ostrzem do góry. Gwoździe te, niespostreżone przez nikogo, czynią wielkie szkody i powodują nieprzewidziane następstwa, przedziurawiając gumy aut, przewożących oddziały.

Często zdarzały się wypadki, że do benzyny czy innego materiału pędnego, szpiegdy rosyjscy mieszałi materiał wybuchowy, który po włączeniu silnika rozszarpał go natychmiast.

Zdarzały się nawet wypadki, że zbrękali w mundury niemieckie, szpiegdy rosyjscy, władający językiem niemieckim usiłowali czynić szkody wśród wojska przy pomocy szeregu innych środków.

Obóz w Pilisvörösvár

Obóz w Pilisvörösvár bierze swój początek w Esztergom tábor, kiedy to po ubytku prawie 1200 szeregowych pozostało w sierpniu 1940 r. ze starego obozu esztergomskiego jeszcze około 800 ludzi. W kilka tygodni później obóz liczy już ponad tysiąc szeregowych. Ponieważ ruch w obozie był znaczny, szeregowi przydzielani byli do prac w terenie i często te prace zmieniali, przez co powstała konieczność założenia szczegółowej ewidencji, która by w każdej chwili dała możliwość sprawdzenia gdzie kto i od kiedy się znajduje.

W lipcu 1942 nastąpiło zlikwidowanie obozu w Esztergom tábor i Vác i utworzono obecny obóz w Pilisvörösvár, co spowodowało znów uciążliwą pracę w zakresie ewidencji. Obóz w Pilisvörösvár liczy około 1000 ludzi, rozproszonych w 256 ośrodkach pracy tak, że w samym obozie pozostali jedynie pracownicy biurowi, rzemieślnicy, szewcy, wyrabiający sorty mundurowe, które otrzymują następnie szeregowi za umiarkowaną opłatą, chorzy i ci, którzy znajdują się przejściowo w siedzibie obozu między jedną pracą a drugą.

Dla lepszej kontroli ludzi pracujących w terenie, utworzono rejon na czele których stoi z reguły starszy podoficer, do którego obowiązków należy nadzór nad ludźmi, utrzymywanie z nimi kontaktu, i załatwianie zbiorowych spraw w obozie.

Większą grupę stanowi ośrodek Esztergom oraz Parkany, gdzie zgrupowanych jest około 170 szeregowych. Pracują oni przy kanalizacji miejskiej, w ogrodach miejskich i poza tym w okolicznych gospodarstwach rolnych. W Esztergomie istnieje świetlica i rozwija się praca kulturalno-oświatowa. Prowadzone są kursy samochodowe i budowlane. Jako przykłady, jak jest ceniona praca naszych żołnierzy, niech posłużą następujące fakty. Właścicielka hodowli lisów srebrnych zadowolona z pracy zajętego u niej pracownika obiecała mu trzy sztuki żywych lisów na zapoczątkowanie własnej hodowli w chwili powrotu do kraju. Gdzieindziej szeregowy sprawujący dozór nad oborą z 250 krów otrzymał w dowód uznania dla włożonej pracy poza znaczną podwyżką płacy miesięcznej jeszcze 600 pengő gratyfikacji na zakup ubrania.

Te i podobne wypadki cieszą wszystkich, gdyż dają dowód umiejętności i obowiązkowości w pracy kolegów naszych.

A. Borsuk
Pilisvörösvár

Przesunięcie terminu Ankiety

Przedstawiciel Polskich Żołnierzy Internowanych dał następujący okólnik do starszych obozów.

»Podaję do wiadomości, że termin ankiety o pracy przedłużam do 1 grudnia br. Przesunięcie terminu spowodowane jest małą ilością odpowiedzi — co tłumaczyć należy ciężką pracą zawodową w letnim sezonie. Obecnie żołnierze rozporządzają większą ilością czasu i należy ich zachęcić do odpowiedzi na ankietę.«

KOMUNIKATY

Komitet Obywatelski zawiadamia, że w dniu 1. XI. 1943 r. jako w dniu Święta Zmarłych odbędzie się o godz. 15,30 na polskiej parceli cmentarza miejskiego (Ujkköztemető), uroczysty obchód, poświęcony wspomnieniu zmarłych Polaków.

Uroczystość poprzedzi poświęcenie Krzyża pamiątkowego, ufundowanego na cmentarzu przez Komitet Obywatelski.

Podczas uroczystości, zjednoczone chóry pod kierownictwem prof. Zawadzkiego odśpiewają pieśni narodowe i religijne.

Komitet Obywatelski zaprasza wszystkich, komu droga pamięć tych, którzy odeszli w zaświaty, do wzięcia udziału w uroczystości.

Równocześnie Komitet prosi o możliwie wczesny wyjazd tramwajami (nr. 28,12) lub autobusami z powodu trudności komunikacyjnych w tym dniu w kierunku cmentarza.

Henryk Sławik

Prezes Komitetu Obywatelskiego.

TREŚĆ NR. 14.

Stabilis: Horoskopy konferencji w Moskwie. — Stanisław Vincenz: Brama do Węgier. — Jan Reychman: Ze współczesnych świadectw o bitwie pod Parkanami. — Życie codzienne czterech stolic. — Dziennikarstwo sportowe w Polsce. — Władysław Eroniewski: Ściana placzu. — Z działalności Komitetu Obywatelskiego. — Głos Żołnierza: Dyscyplina wewnętrzna. — Pomniki mówią. — A szovjet fegyvergyár titkai. — Obóz w Pilisvörösvár. — Przesunięcie terminu ankiety.

»Tygodnik Polski-Materiały Obozowe« wydawnictwo kulturalno-oświatowe Komitetu Obywatelskiego Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech Budapest, V., Géza-utca 3.

Za wydawnictwo i redakcję odpowiada JENŐ KAJTÁR. Przedpłata miesięczna 1.20 P kwartalna 3.60 P.

Przedpłatę należy wpłacać blankiem czekowym na konto Nr. 19.062.

W sprawach redakcyjnych i administracyjnych należy zgłaszać się pod adresem: Budapest V., Alkotmány-utca 31. III. em. II. telefon: 12-55-20.

436796 — Drukarnia artystyczno-literacka, Athenaeum S. A. pod dyrekcją: Antal Kárpáti.